



Wojciech Świdziniewski
Maja Lidia Kossakowska
Jarosław Grzędowicz
Krzysztof Kochański
Alexandra Pavelková
Andrzej Drzewiński
Andrzej Ziemiański
Łukasz Orbitowski
Andrzej Sapkowski
Szczepan Twardoch
Alastair Reynolds
Eugeniusz Dębski
Tomasz Pacyński
Robert J. Szmidt
Milena Wójtowicz
Miroslav Žamboch
Magdalena Kozak
Witold Jabłoński
Andrzej Pilipiuk
Andrzej Zimniak
Jewgienij Łukin
Aneta Jadowska
Anna Brzezińska
Romald Pawlak
Rafał W. Orkan
Marcin Mortka
John Everson
Adam Cebula
Kirył Jeskow
Jacek Inglot
Jacek Dukaj
Ondřej Neff

ONI JUŻ U NAS BYLI, A TY?

Fahrenheit to najstarsze polskie czasopismo internetowe poświęcone literaturze fantastycznej. Znajdziesz tutaj uznanych autorów oraz debiutantów, ich opowiadania, powieści, publicystykę, a także recenzje, quizy i aktualności.

www.fahrenheit.net.pl



Troll w Internecie jest gatunkiem tępionym.

Powód jest oczywisty: tacy osobnicy potrafią rozwalić każde forum, każdą interesującą dyskusję. No... prawie. Ludzie nauczyli się radzić sobie z trollami: najprostszą metodą jest ban, mniej drastyczną, ale skuteczną – zwyczajne ignorowanie złego ducha, do czego zresztą informatycy napisali już specjalne narzędzia.

Troll jest opisywany zazwyczaj jako byt typowo internetowy, wytwór rozbuchanej technologii informatycznej. Czy to prawda? Publicyści wątpliwości nie mają, bowiem nie ma jak udowodnić, że stare było dobre, a wszystko, co nowe, to szatańskie zło. Od lokomotyw krowy mleko tracą.

Kim ów troll jest? Zazwyczaj to osobnik toczący typowy spór o miedzę. Ważne, żeby „moje” było na wierzchu. Cóż, pieniądzo, jeśli włąbić się w ludzkie historie, istniało zawsze i wszędzie. Odkąd istnieją jakiegolwiek formy zapisu, zawsze są utrwalane opowieści o bezinteresownych awanturach. Jeśli Internet ma na polu trollowania jakieś zasługi, to jedynie chyba takie, że stał się łatwym medium, dzięki któremu ta działalność może być uprawiana. Co do słynnej internetowej anonimowości, to sprawa jest dyskusyjna. Trollują choćby znani z imienia, nazwiska i gęby politycy.

Czy potrafimy odróżnić trolla od innych duchów zasiedlających net? No właśnie. Tak naprawdę – mamy kłopot. Jak w przypadku konia: każdy widzi, że ów troll trolluje, lecz ścisłej definicji, gdy sprawdzimy, kogóż to trollem wyzywają, nie ustalimy. Musimy pozostać przy intuicji. Także ktoś, kto wypowiada jakieś kontrowersyjne poglądy, kto się z nami nie zgadza, niekoniecznie zaśmiecający dyskusję, ale wystarczy, że konsekwentnie w kilku wpisach będzie bronił swojego odmiennego stanowiska, już się może narazić na nazwanie mianem tej postaci ze skandynawskich sag. Kto to ów troll? Niby wiemy, ale granice są płynne i trzeba uważać w każdym indywidualnym przypadku na okoliczności. Trollem czyni kontekst, a przynajmniej przebieg dyskusji.

Rzecz do podrapania się w łysinę i przemyślenia: na ile ten internetowy zły duch jest bytem realnym, a na ile kolejnym nazwaniem rzeczy istniejących od zawsze, po prostu ludzi, którzy się z nami nie zgadzają. Albo zza płota, z bezpiecznej odległości, pokazują język. Żeby wnerwić diskutanta.

Być może opinia, którą zaraz wypowiem, stanie się powodem tego, że spora część użytkowników sieci nazwie mnie trollem. Na przykład: lwią część dyskusji (prawie całość), jakie toczą się wokół zmian klimatu, ma wszelkie cechy trollowania. Brzmi to naukowo, spokojnie, powiedziałbym mentorsko, ale trollowaniem jest. Bardzo mi przykro.

To bowiem widać np. w programach produkowanych przez National Geographic. Mamy tam opowieści, że być może obserwujemy zmiany klimatu. Tymczasem w efekcie cieplarnianym chodzi o zmiany klimatu, lecz te wywołane ludzką emisją CO₂. Gdyby istniał choć jeden pomiar, który by to potwierdzał, należałoby mówić właśnie o nim. Całe to pitolenie o topniejących lodowcach jest typowym zabiegiem trolla: gadaniem nie na temat, przy udawaniu, że się go trzymamy. Troll chętnie dyskutuje z tezą, której nikt nie postawił, a która jest absurdalna i łatwo ją obalić. Przy tym udaje, że adwersarz właśnie jej broni. Otóż nikt rozsądny nie twierdzi, że klimat trzyma się jak drut np. średniej temperatury Ziemi. Tym bardziej nie ma długoczasowej stabilności średnich temperatur regionów. One muszą fluktuować. Jest inną sprawą, ile te fluktuacje naprawdę wynoszą. Jest to dalsza sprawa, że wywikłanie z ogromnych zmian temperatur wniosków, czy mamy do czynienia z ocieplaniem całej planety, czy ze zmianą rozkładu temperatur, to trudne i zawile zadanie, tym bardziej że najpewniej biegną oba procesy – i to w różnych kierunkach i z różnych powodów. Zasadniczą sprawą jest, czy emisja CO₂ przez człowieka ma znaczący wpływ.

Na ten temat praktycznie ani słowa, bo żadnych pomiarów, które to potwierdzają, nie ma. Co więcej, im więcej danych, tym mocniej widać, że chodzi o coś innego. Np. szacuje się, że na chwilę obecną emisja CO₂ przez ludzi zatrzymała swój wzrost, a poziom tego gazu w atmosferze rośnie. Bo rosną temperatury wód przypowierzchniowych w oceanach.

Trollowanie zawsze jest opisywane jako nieszczęście, szkoda wyrządzana ludzkości.

Właśnie nieustannemu trollowaniu za efektem cieplarnianym zawdzięczam zmianę mojego poglądu na ten temat. Ongi dość w ciemno popierałem wszelkie „zielone” pomysły i raczej skłonny byłem uznać, że faktycznie coś w tym jest, lecz właśnie śledzenie propagandowych argumentów pojawiających się w wielkiej liczbie przekonało mnie, że wręcz przeciwnie. Skoro nie ma jasno wytłumaczonego mechanizmu, bo w cieplarniach nie o efekt cieplarniany chodzi, ale o zatrzymanie konwekcji, nie ma pomiarów wskazujących choćby na znaczącą korelację pomiędzy ludzką emisją a poziomem CO₂ (że wzrost temperatur sobie odpuścimy), to znaczy, że jesteśmy wpuszczani w maliny.

Szczerze mówiąc, gdyby było znacząco mniej gadania na ten temat, pewnie tkwiłbym gdzieś pomiędzy wiarą a zwątpieniem. To nieustanna propaganda zmusiła mnie do przyjrzenia się sprawie. Cóż. Chcieliście? To macie.

Kiedy w człowieku budzi się troll? A na przykład wówczas, gdy odpowiedź na jakieś pytanie kłóci się mocno z założeniami, z jakimi delikwent do dyskusji przystępuje. Istnieje nurt z pozoru mocno trzymający się życia, dyskusji trzymany w ryzach przez ścisłą techniczną wiedzę. Kilka razy już o tym pisałem: zdawałoby się, że w obszarach wiedzy ścisłej nie ma miejsca na emocje; tym bardziej jest to poletko fatalne dla trolli, bo cokolwiek się napisze, zostanie szybko zweryfikowane.

Na przykład: jaka lampa błyskowa jest „najlepsza”? Właśnie „najlepsza” w cudzysłowie. W fotograficznej piaskownicy toczą się obecnie różne dziwne i niezrozumiałe dla osób spoza wąskiego, elitarnego (???) kręgu wtajemniczonych. Na przykład bijatyki o wyższość bezlusterkowców nad lustrzankami, tak zwanego systemu jednej firmy nad tym drugiej. A co to system? To zestaw pasujących do siebie akcesoriów, głównie tzw. body aparatu, oraz obiektywów przeznaczonych do niego. Bijatyki osiągają często takie natężenie, że schować się przy nich mogą polityczne dyskusje. Ale też łatwo sięgają tego poziomu. Szybciutko zamiast zdawałoby się niezbędnych w takich okolicznościach merytorycznych argumentów pojawiają się osobiste wycieczki, inwektywy czy obśmiewanie adwersarza.

A co z tą lampą? Cóż, pewnie jeśli jesteś mniej więcej laikiem, zwłaszcza z bagażem

doświadczeń z ubiegłych dekad, nie spodziewasz się jakiś rewelacji. Jedna jest „mocniejsza”, inna „słabsza”, ale solidniej wykonana, poza tym lampa błyskowa ma błysnąć i tyle.

Na przykład mamy dyskutowaną niezbędną tak zwanego trybu HSS (high-speed synchronization). Współczesna lampa w porównaniu do jeszcze całkiem niedawno produkowanych jest urządzeniem bardzo skomplikowanym i wyposażonym w wiele udogodnień... albo wręcz przeciwnie. Na pewno na mocnych procesorach. W każdym razie ma mnóstwo pstryczków, joysticków, ustawień, tłum komunikatów, które trzeba znać. Tak, gada w języku R2D2, a ty musisz to rozumieć. Np. od dawna lampa potrafi sama dobrać ilość światła potrzebnego do naświetlenia sceny. Potrafi komunikować się z innymi lampami za pomocą błysku (to tzw. praca w trybie master), potrafi ustawiać własne parametry odbierając błyski (to tryb slave), zmienia kąt rozsyłu światła, dostosowując go do zmieniającej się ogniskowej w obiektywie aparatu. Z tych wszystkich cudów na tapecie naraz znajduje się tryb HSS. (W czasie pisania tekstu... bo za chwilę wymyśli się coś nowego). Być może przez to, że wszystko, co wymieniłem poprzednio już było. Niekoniecznie jest w każdej lampie, ale było, a ów HSS pojawia się w tańszych lampach niesystemowych (cokolwiek to znaczy). Dlaczego HSS, a nie coś innego – to sprawa mocno poza techniką.

Wyobraźmy sobie teraz, że na scenie internetowej pojawia się delikwent, który mówi: szkoda kasy na wasze systemowe lampy z procesorami i trybami HSS. Lekką rączką wywalicie na jedną po 2 tysie, bo ja za dosłownie dziesięć złotych kupowałem w komisie Łucz M1, które mają tylko tę funkcję, że błyskają. A jestem od was lepiej zaopatrzony, bo kilka lamp, nawet najprostszych, daje w porównaniu z każdą, nawet najbardziej wyposażoną, ale jedną, nieporównanie wiele więcej możliwości.

Dokładnie z tej przyczyny, dla której wiele lamp potrzeba do oświetlenia teatralnej sceny, albo, co za trywialność, że długi korytarz oświetlamy szeregiem źródeł światła, a nie jednym. Żeby nie było, że przykład całkiem abstrakcyjny.

Lampy błyskowe to przypadek szczególny, lecz ogólniejszy wniosek jest dość smętny: gdy szukać wiedzy na internetowych forach poświęconych technice, musisz być bardzo ostrożny. Zostały one bowiem, jakże inaczej, strolcowane przez ludzi, którzy zazwyczaj nie za bardzo zajmują się tym, czego z pozoru forum dotyczy. Jeśli jesteś na forum samochodziarzy, to nie dyskutują na nim ludzie, którzy pracują jako kierowcy. Na fotograficznym nie obracasz się pomiędzy entuzjastami fotografii. Zazwyczaj trafisz na gadzeczarzy, którzy robią to, co trolle lubią najbardziej: produkują mnóstwo tekstu obok tematu, kompletnie zaśmiecając wątek i uniemożliwiając w końcu wyłowienie istotnej informacji.

Tym użytkownikom internetowych forów nie chce się w głowie zmieścić, że tak naprawdę nie ma problemu lampy. Gdzieś w pamięci (zbiorowej) egzystują te legendarne Chimery i Bowensy, a z nimi przeświadczenia, że bez wywalenia kasy niczego porządnego się nie osiągnie. Ludzie na technicznych forach znaleźli się, by sobie porozprawiać o zagadnieniach, tych wszystkich pstryczkach, które pracownicy zgłębiali, których opanowanie stało się dla nich źródłem prestiżu. Nagle pojawia się wandal, który wszystko psuje. Troll?

Stoczyłem na łamach Fahrenheita za długą i zbyt zawiłą polemikę na temat między innymi „teorii Suworowa”, czyli pomysłu, że klęska ZSRR w początkowej fazie agresji wojsk Hitlera nastąpiła dlatego, że to Stalin właśnie szykował się do ataku. I jaki wniosek? A owszem, że o ile historycy mają ten okres rozpracowany co do niewiele znaczących szczegółów, to „publiczność”, dzięki ciężkiej pracy różnej maści „popularyzatorów”, coraz bardziej się oddala od rozumienia, co się wówczas działo. Aż się chce potrollować...

A na przykład, skoro mowa o dziwnych zdarzeniach z II wojny światowej, powiedzmy, może nie dziwnych faktach, tylko dziwnych ich interpretacjach, to czyż nie jest zastanawiające, dlaczego, skoro Suworow wymyślił taką tezę wywracającą z nóg na głowę wszystko, co wiemy „oficjalnie” o agresji na ZSRR, to czemu nikt jeszcze nie postawił takiej samej hipotezy o ataku na Pearl Harbor?

O ile bowiem pomysł zaatakowania III Rzeszy przez Stalina w 1941 roku był cokolwiek samobójczy (raczej zupełnie...), to jeśli się przyjrzeć rozwojowi wypadków na Pacyfiku, to – powiedzmy sobie szczerze – USA powinny sprawić łomot Japonii. Próby powstrzymania awanturniczej polityki samurajów nie dawały żadnych rezultatów. To dokładnie było przyczyną przesunięcia w maju 1940 r. floty Pacyfiku do Pearl Harbor. Nie dały rezultatu takie posunięcie jak zarządzona blokada handlowa, wreszcie przebieg trwających od 8 marca 1941 roku negocjacji między skłóconymi państwami wskazywał, że bez stanowczej „zachęty” Japonia nie porzuci swoich zamiarów.

Plan Japończyków był mniej więcej taki, że pojedynczy silny atak zakończony rozbiciem amerykańskiej floty Pacyfiku zmusi wroga do ustępstw. Było to mrzonką, bo USA z ogromnym potencjałem gospodarczym potrafiły w bardzo krótkim czasie odtworzyć swoje siły. Przypomnijmy, bitwa o Midway stoczona od 4 do 7 czerwca 1942 roku, więc ledwie jakieś 5 miesięcy po Pearl Harbor, zakończyła marzenia Japończyków o jakiegokolwiek formie zwycięstwa w tym konflikcie.

To samo (pojedynczy atak na morską bazę, zakończony zniszczeniem większości sił, ale japońskich) prawdopodobnie przetrąciłby kręgosłup całej polityce stopniowego podporządkowywania sobie Azji przez Tokio. W tym przypadku przy podobnej skali strat, nie byłoby szans na szybkie pozbieranie się po klęsce. Jedyne, co mogło powstrzymać Amerykanów przed takim rozwiązaniem, byłyby opory moralne. Które na wojnie są bardzo szybko przełamywane.

Amerykanie mieli siły wystarczające do przeprowadzenia takiej operacji. Prócz lotniskowców, o który teraz pisze się w każdej popularnej opowieści, mieli potężne pancerniki. Te co prawda okazały się w morskich walkach na Pacyfiku nieprzydatne, ale później, podczas inwazji na wyspy japońskie i w Europie, stały się znakomitymi platformami artyleryjskimi, i gdyby zespół, jaki stacjonował w bazie Pearl Harbor, przedarł się w okolice jakiegoś wojennego portu Japonii, one same, bez pomocy lotnictwa, były w stanie zrobić tam jesień średniowiecza.

W przeciwieństwie do ZSRR, USA dysponowały w miarę nowoczesnym sprzętem, w kilku dziedzinach prawdopodobnie wyraźnie lepszym (radary?); ewentualne działania zaczepne byłyby skierowane przeciw poważnie słabszemu przeciwnikowi, ryzyko było niewielkie. Ewentualne niepowodzenie akcji nie wiązało się z niczym dramatycznym w skali narodu. O czym właśnie uczy nas katastrofa ataku na Pearl Harbor. Dla Japończyków efekty tej wyprawy wyznaczały przyszłość ich cesarstwa, Amerykanie ryzykowali najwyżej taktyczne niepowodzenie. Sytuacja była całkowicie niesymetryczna. Zastanówmy się: o ile przeciw hipotezie, że ZSRR planował atak na III Rzeszę, świadczą zasadnicze sprawy, takie jak proporcja sił, generalny brak politycznego interesu takiej awantury, to Amerykanie powinni byli zaatakować Japonię. Dokonać przewencyjnego łomotu, właśnie w stylu Pearl Harbor, po czym zaproponować kolejną fazę negocjacji w nowych warunkach.

Dlaczego nikt się nad tym nie zastanawia? Dlaczego nikt nie kopie po dokumentach w poszukiwaniu śladów przygotowań do takiej operacji?

Bo nie ruszy nikogo, że rząd USA chciał coś zrobić... dobrze. Takie są prawa literatury sensacyjnej.

Długotrwała bijatyka na łamach Fahrenheita doprowadziła mnie również do prostego wniosku, że o żadnej przygotowywanej przez Stalina inwazji na III Rzeszę nie może być mowy, bo operacja w tej skali musiałaby być dobrze znana w momencie samego jej przeprowadzania. Wykrywanie przygotowań do ataku to podstawowe zadanie wywiadów. Wywiad sowiecki, ale też i angielski, doskonale udokumentowały przygotowania do operacji Barbarossa, zaś wywiad niemiecki przed atakiem miał detaliczną rozpisę położenia wojsk sowieckich. Podczas samej operacji wielokrotnie wykrywał znacznie mniej rozległe próby kontrataków. Jeśli więc doktor Goebbels w momencie rozpoczęcia inwazji nie darł się na cały świat, że III Rzesza została zmuszona do udaremnienia zdradzieckiego ciosu w plecy, to znaczy, że egzystencję tej teorii uzasadnia jedynie jej literacka sprzedawalność.

Powiem szczerze, że zmuszony polemiką powtórzyłem sobie szereg rzeczy z historii i podobnie muszę potraktować teorię Zychowicza o współpracy z Polaków z Hitlerem. To bajki oderwane m.in. od realiów poprzedzających II wojnę światową i nastawienia nazistów do niższych ras, co zresztą Zychowicz sam przyznaje.

Czy chaotyczna polemika nauczyła mnie czegoś? A owszem, przekonałem się, jak bardzo odjechane od rzeczywistości historie potrafią lansować różnej maści pismacy. Człowiek ma tendencję do poważnego traktowania słowa pisanego, nawet w Internecie, lecz gdy rozbierze rzecz na chłodno, zaczyna się drapać w łysinę: nie szkoda li czasu na kolejne pomysły w stylu Dänikena? Tak, spodziewałem się, że to bajki szyte grubymi nićmi, lecz trochę zaskoczyło mnie, jak bardzo grubymi.

Jeśli potraktujemy taką działalność (produkcję fantastycznych teorii od wpływu człowieka na klimat poprzez różne własne pomysły jak działają współczesne gadzety do historycznych) jak trollowanie, to czy zaprawdę dobrze by było bez owych trolli?

Nie wiedziałbym, co to transfer radiacyjny, gdyby się nie wdał osobiście w bijatykę, z klimatologami. Zaś powtarzające się awantury na internetowych forach sprawiły, że zamiast smacznie drzemać po obiedzie, już to grzebałem po książkach, już to sam eksperymentowałem. No i mam własny pogląd na sprawę.

Nie, trollowanie nie jest dobre. Jest nie do uniknięcia. To oczywiste, że przez wodzenie po manowcach traci się mnóstwo energii i czasu, że troll zmusza do udowadniania, że Księżyc nie jest zbudowany z zielonego sera, ale niestety tak ludzie dyskutowali zawsze. Bezsilność ludzkiego rozumu wobec wszelkiej maści problemów, na jakie napotyka, jeśli tylko pogrzebać w historii, jest nader dobrze udokumentowana. Jednak do tych pomników ludzkiej głupoty nie jest tak łatwo dotrzeć jak do internetowych forów.

Wydaje się nam, że w końcu wieku XX i w wieku XXI technologia informatyczna zrobiła ludzkości jakieś kuku powołaniem sieci i wyhodowaniem w niej trolli. Nie, durni ludzie byli od zawsze. Np. do XIX wieku lekarze uznawali onanizm za poważną przypadłość. Od czasów Hipokratesa. A w XIX wieku podobno wpisywano go do dokumentów szpitalnych jako oficjalną przyczynę zgonów. Warto sobie uzmysłwić, jak długo i bez żadnej przyczyny obowiązywały zgubne dla ludzkości poglądy w sprawach przyczyn powstawania i rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych. Pierwsze mikroskopy optyczne zbudowali ok. 1590 roku ojciec i syn Hans i Zachariasz Janssenowie. Dokonywano za ich pomocą obserwacji, opisywano i rysowano cuda, jakie udawało się zaobserwować i... wierzono w teorię samoródtwa. Ludzie widzieli drobnoustroje i aż do XIX wieku nie wyciągali z tego żadnych wniosków. Za przyczynę cholery uznawano „coś” nazywane miazmatem. Szczerze mówiąc, smród.

Skuteczne przeciwdziałanie powstawaniu epidemii tej choroby stało się możliwe dopiero od roku 1883 dzięki badaniom Roberta Kocha. Dziś wiemy, że przecinkowiec cholery

przenosi się przez wodę, brudne ręce, ale najważniejsze, że nie ma żadnego związku ze smrodem, i gdy w środowisku nie ma tych bakterii, to nie powstaną z brudu zgodnie z teorią samoródtwa.

Tysiące doświadczeń oraz praktyka lekarzy, która przyniosła niezwykle w swoich czasach sukcesy aseptyki, gdy na przykład ranni żołnierze z obrażeniami, przy których tradycyjna medycyna nie dawała im szans, wracali niemal cudownie do zdrowia po przemyciu ran karbolem, wydawało się nie dawać najmniejszych szans starym poglądom.

Tymczasem podejrzewam, że zwolennicy teorii samoródtwa... wymarli. Nie udało się ich przekonać. Przynajmniej w opisach historii życia i odkryć Pasteura czy innych sławnych biologów tego okresu brak informacji, by ci, którzy mieli już ustalony pogląd, zmienili go.

Dość dobrze udokumentowane jest także to, że wymarli przeciwnicy atomistycznej teorii budowy materii. Do co najmniej połowy XIX wieku wykładano duże (relatywnie) pieniądze na budowę perpetuum mobile, choć zasada zachowania energii była dobrze znana. Zaś choć wyniki szczególnej teorii względności służą w urządzeniach GPS uzyskiwaniu dokładności pomiarów, do dnia dzisiejszego znajdują się mniej lub bardziej (nie)poważni uczeni, którzy próbują tę teorię obalić.

Nieliczne dyskusje, których uczestnicy nie starają się nie trollować, prowadzone są zazwyczaj w specjalnych okolicznościach i przez niezwykłych ludzi, którzy latami ćwiczyli się w poszukiwaniu prawdy, i przekonali się do stosowania zaledwie kilku prostych reguł metodologii naukowej.

Jak to jest z tym nieszczęściem trollowania? Moim zdaniem wolność klepania w klawiaturę jedynie odśłoniła to, co było starannie skrywane. Byliśmy przyzwyczajeni do czytania tekstów, ba, polemik, ale zredagowanych.

Niewinne słówko „redakcja” oznacza, że ktoś siedział i starał się wyłowić z tekstu jakiś porządek, wywalał to, co wodziło po oczeretach i nie prowadziło do celu, czyli wyrzucał ewidentne bzdury.

Redaktor nie dopuszczał kiedyś do druku fantazji o tym, że posągi na Wyspie Wielkanocnej postawili kosmici, bo przy nakładzie minimum 40 tysięcy egzemplarzy plus kilkaset, tak się podówczas pisało, szkoda było papieru i roboty. Redaktor merytoryczny wiedział, że był jakiś Thor Heyerdahl, napisał popularną książeczkę „Aku-aku”, i wyjdzie bardzo głupio, jeżeli na teorię kosmitów nadzieje się czytelnik, który ją zna.

Były czasy, że do szerokiej publiczności docierały tylko wygładzone wersje sporów, nie docierała choćby w ogóle głupota ludu, który coś tam w szkole słyszał o teorii Darwina, ale w głowie to mu się nie zmieściło. I musiał ją wyłożyć po swojemu.

Nie, trollowanie nie narodziło się z powstaniem sieci. Adwersarze obrzucali się inwektywami od starożytności, o czym świadczy klasyfikacja „argumentum ad personam”. Już starożytni Rzymianie... Niestety, ludzie tak dyskutują, bo mądrzej nie potrafią.

Adam Cebula